



Cezary Czyżewski

ALAZZA

ALAZZA

Cezary Czyżewski

ALAZZA

WYDAWNICTWO
IX

Kraków 2020

Tytuł: *Alazza*

Copyright

© 2017 by Cezary Czyżewski

© 2020 by Wydawnictwo IX

Copyright for the cover art

© 2017 Cezary Czyżewski

All rights reserved.

Wydawca: Krzysztof Biliński, Wydawnictwo IX

Redakcja i korekta: Jolanta Lewińska

Skład, łamanie i przygotowanie do druku: Krzysztof Biliński

Ilustracja na okładce: Cezary Czyżewski

Ilustracje: Anna Janusz-Strzyż

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być w jakikolwiek sposób powielana bez zgody wydawcy, za wyjątkiem krótkich fragmentów użytych na potrzeby recenzji oraz artykułów.

Wydawnictwo IX

biuro@wydawnictwoix.pl

wydawnictwoix.pl

Kraków 2020

Wydanie I w nowej edycji.

ISBN 978-83-958615-3-6

SPIS TREŚCI

ALAZZA	7
DZIECI BOGINI	97
CZARNY KOCIOŁ	173

ALAZZA

I

Październikowe słońce przebijało się przez chmury, powoli sunące na wschód. Silny wiatr wiał nad miastem od rana, potęgując jesienny chłód. Ulicą Dworcową jechał dostawczy mercedes, rozchlapując wodę, zbierającą się w kałużach przy krawężniku.

Ubrany w ciemnozieloną, długą kurtkę mężczyzna odsunął się w samą porę, by uniknąć ochlapania. Brudna woda chlusnęła na chodnik tuż przed nim. Zdegustowany pokręcił głową i sięgnął ku mosiężnej kłamce w drzwiach do cukierni. Wszedł do środka.

Lokalne radio nadawało popołudniowe wiadomości, przy ladzie stała kolejka klientów, obsługiwanych przez uczennicę z przyklejonym do twarzy zawodowym uśmiechem sprzedawcy. Mężczyzna przeszedł w głąb lokalu i odnalazł stolik.

– Spóźniłeś się – tleniona blondynka chwyciła wargami słomkę wystającą z jagodowego koktajlu.

– Trzy minuty, nie przesadzaj – mężczyzna zdjął kurtkę i powiesił na wieszaku. Dosiadł się do kobiety. – Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

– Niespecjalnie. Napijesz się czegoś?

– Zależy, ile czasu tutaj spędzimy. Przyznam, że jestem trochę zaskoczony tym nagłym zaproszeniem. Wyrwałeś mnie z zajęć ze studentami, musiałem jechać przez całe miasto. To coś ważnego?

– A ja nie jestem dla ciebie ważna? – kobieta spojrzała na niego spod długich, malowanych rzęs.

– No... jesteś. To chyba oczywiste...

– Nie jestem taka pewna. Ostatnio spotykamy się coraz rzadziej, w kinie byliśmy ponad miesiąc temu, na wspólnej kolacji w lipcu. Mówiłeś wtedy, że kupujesz nowe mieszkanie, że będę mogła się wprowadzić i co?

– Baśka, tłumaczyłem ci, że plany mi się zmieniły – męczyzna gestem podziękował kelnerce, która już nachylała się nad nim. Dziewczyna skinęła głową i podeszła do innego stolika. – Nie dostałem tego kredytu, o który się ubiegałem, chata przepadła, bo deweloper nie spuścił ceny. Sprzedał komu innemu.

– Tadek, nie chodzi tylko o mieszkanie – blondynka odstawiła koktail. – Kiedy cię poznałam, opowiadałeś czarujące historie, zabierałeś mnie na romantyczne spacer, wydawałeś się... inny. A gdy dostałeś te pracę na uniwersytecie, zapomniałeś o mnie zupełnie.

– Niezupełnie, nie przesadzaj, proszę. Po prostu praca mnie wciąga, robię to co zawsze chciałem robić, do tego doszły zajęcia ze studentami. Jeśli czujesz się zanie dbana, mogę to naprawić...

– Nie chcę, żebyś na siłę się ze mną spotykał – Barbara wzruszyła ramionami. – Widzę, że masz własny świat, ja do niego nie pasuję.

– Nie rozumiem...

– Postanowiłam zakończyć tę znajomość. Ona nie ma... perspektyw.

Tadeusz zaniemówił, zaskoczony. Wreszcie zebrał myśli.

– Czeka, zaraz. Tak po prostu?

– A czego się spodziewałeś? Że będę płakała, robiła sceny? Zwisam ci, więc lepiej, żebyś poszukała sobie kogoś, komu na serio będzie na mnie zależało.

– Moment, Basiu – Tadeusz zawsze zwracał się do niej w ten sposób, gdy chciał powiedzieć coś ważnego. – Nie rób mi tego, przecież to nie tak, że specjalnie nie chciałem się z tobą spotykać...

– Nie mam żalu – przerwała mu kobieta, sięgając do torebki po pieniądze. – Myślałam nad tym długo i podjęłam decyzję. I proszę, nie staraj się tego zmieniać na siłę. Ty masz swoje życie, ja mam swoje. Miło było. Cześć.

Położyła dwie piątki na stoliku i wstała, sięgając po czarny płaszcz. Tadeusz siedział wpatrując się w pustą szklankę po koktajlu, z której smętnie wystawała zakrzywiona, różowa słomka.

Nie wrócił już na uczelnię. Zadzwonił do sekretariatu i przekazał wiadomość, że odwołuje pozostałe zajęcia. Dotarł na swoje osiedle, zrobił małe zakupy w markecie, przede wszystkim kupując zgrzewkę "Żubra". W domu wziął szybki prysznic. Potem podgrzał resztę bigosu i pochłonął go. Naczynia zostawił w zlewie, przeszedł do pokoju, włączył muzykę i nakładając słuchawki, usiadł w swoim ulubionym fotelu, sięgając po pierwszą puszkę piwa. Spoglądając przez okno na kończący się dzień, wrócił pamięcią do dzisiejszej rozmowy z Barbarą.

Poznali się na zabawie sylwestrowej, pod koniec zeszłego roku. To, co na początku wyglądało na przygodę na jedną noc, z czasem zaczęło przybierać poważniejszy kształt. Tadeusz bronił się przed własnymi uczuciami, tłumacząc sobie i dziewczynie, że to tylko zwykła znajomość plus seks. Ona zresztą mówiła to samo, ale spotykali się coraz częściej i na dłużej. Aż wreszcie przyszedł maj. Siedzieli w restauracji na Wyspie Młyńskiej. Powiedział jej, że stara się o kredyt na większe mieszkanie, że praw-

dopodobnie dostanie stałe stanowisko na uczelni i że jeśli zechce, jesienią mogliby zamieszkać razem. Barbara wydawała się zachwycona, jakby wcześniejsze deklaracje o „zwykłej znajomości” straciły znaczenie. Wszystko wydawało się iść po myśli Tadeusza.

A potem przyszedł sierpniowy spadek na giełdach, gospodarka światowa zachwiała się. Któregoś dnia Tadeusz dostał telefon z banku, że jego podanie o kredyt mieszkaniowy „z powodu niepewnej sytuacji rynkowej” zostało rozpatrzone odmownie. Mimo że wcześniej spełniał wszystkie kryteria i uśmiechnięty koleś za biurkiem w dziale obsługi klienta zapewniał, że nie ma najmniejszego problemu i że decyzja o kredycie „to tylko kwestia czasu”. Tadeusz musiał pożegnać się z planami zakupu apartamentu na nowym osiedlu na obrzeżach Bydgoszczy.

Baśka przyjęła to wszystko z lekkim zaskoczeniem i zawodem. Pocieszał ją, że to kwestia kilku miesięcy i że po nowym roku znów wystąpi o kredyt.

Zadzwoił telefon. Tadeusz spojrzął na wyświetlacz i odłożył komórkę na stolik. Kumpel z policji pewnie chciał wyciągnąć go na piwo. Ale w domu czekało jeszcze jednaście „Zubrów”, a Tadek miał wyjątkową ochotę spędzić ten wieczór sam.

Przypomnił sobie, że właśnie w sierpniu, po ich rozmowie na temat mieszkania, Baśka po raz pierwszy nie odezwała się przez tydzień. Zrzucił to wtedy na karb sezonu urlopowego, a i sam wyjechał wtedy na kilka dni do rodziny do Wrocławia. Gdy spotkali się ponownie, kobieta wydawała się nieco nieobecna, jakby między nimi pojawiła się niewidzialna bariera.

Nagle, otwierając drugie piwo, Tadek uświadomił sobie, że to niekoniecznie musiała być jego wina. Właśnie wtedy, gdy przekonał samego siebie, że z tej znajomości może wyjść coś poważniejszego, Barbara zmieniła front. Wiosną z fascynacją słuchała jego opowieści o badaniach naukowych w instytucie fizyki, o astronomii i mode-

lu standardowym. Kiedy we wrześnie zadzwonił do niej z radosną nowiną, że dziekan przedłużył mu kontrakt na uczelni, nie miała nawet czasu na spotkanie przy lampce wina. Wymówiła się wtedy wizytą u rodziców.

Telefon zadzwonił po raz drugi. Tym razem Piotr dzwonił ze służbowej komórki.

– No? Czego chcesz?

– Witam kolegę fizyka – głos komisarza był nieco zachrypnięty. – Jak tam życie?

– Dodupnie – Tadeusz pociągnął łyk piwa.

– Niedobrze. Studenci ci dali w kość?

– Gorzej. Ale nie chce mi się opowiadać przez telefon. I nie jestem w nastroju na wyjście na browar, jeśli o to ci chodzi.

– Uuu... niedobrze. Ja w sumie w sprawie zawodowej. Można do ciebie wpaść? Przyniosę coś do picia.

Tadeusz zawahał się przez moment. To nie był taki głupi pomysł.

– Czekam – rzucił w słuchawkę i rozłączył się. Potem wstał i ruszył do kuchni. Trzeba było znaleźć przynajmniej dwa czyste kufle.

Piotr Kownacki był potężnym facetem tuż przed trzydziestką. Trenował karate, wspinał się, żeglował i skakał na spadochronie. Pracował w wydziale dochodzeniowym Komendy Wojewódzkiej, zajmował się przede wszystkim trudnymi morderstwami. Często korzystał z pomocy specjalistycznych laboratoriów i właśnie w jednym z nich poznał Tadeusza. Fizyk brał udział w kalibracji kilku najnowszych urządzeń do badania próbek za pomocą spektroskopii. Obaj niemal natychmiast przypadli sobie do gustu, mimo że dzieliło ich niemal wszystko. Piotr był typem wysportowanego amatora zdrowego trybu życia, lubił szybkie samochody i imprezy towarzyskie. Pragmatyczny, konkretny, traktujący naukowców z odrobiną lekceważe-

nia, lubił określać ich po prostu „jajogłowymi”. Tadeusz, choć nie był ułomkiem, ze sportów uznawał tylko jazdę na rowerze i piesze wycieczki. Pracę w instytucie fizyki uważał za interesującą, dużo czytał i mimo że miał doktorat z nauk ścisłych, amatorsko interesował się historią, filozofią i religioznawstwem. Nad huczne spotkania towarzyskie zdecydowanie przedkładał samotne wypadu poza miasto lub co najwyżej kameralne spotkania w knajpach. W jakiś sposób jednak znaleźli nić porozumienia, które zmieniło się w męską przyjaźń. Często i obficie podlewaną piwem.

Komisarz zapukał do drzwi pół godziny później. Z uśmiechem uniósł czteropak „Heinekena” i przekroczył próg małego mieszkania Tadeusza.

– Wystarczy chyba, co?

– Wystarczy – fizyk skinął głową, wpuszczając kumpla do przedpokoju. – Jakby co, mam jeszcze spory zapas.

– Bosko – Piotr był już w kuchni, wkładając piwo do lodówki. – Niech się nieco schłodzi. No opowiadaj, co tam cię dzisiaj trafiło?

– Kobieta.

– Ta malowana blondyna? – obaj przeszli do pokoju, gdzie Tadeusz gestem dłoni zaprosił kolegę na wersalkę. Sam zajął miejsce w fotelu.

– No a która? – podał Piotrowi puszkę.

Złote piwo syczało kusząco, gdy policjant nalewał je do kufła.

– Widziałem ją wczoraj wieczorem na starówce, wsiadała do czarnej beemwicy jakiegoś dzianego kolesia. Nie chciało mi się wierzyć. Aż zatrzymałem buca pod pretekstem kontroli papierów. Ale to była ona. A koleś dokumenty miał w porządku.

– No to wszystko jasne – Tadeusz z kwaśną miną uniósł swój kufel. – Dzisiaj zaprosiła mnie do kafejki, tylko po to, żeby powiedzieć, że ma mnie dość.

– Wiesz, stary... – Piotr spojrział w zapadający za oknem zmrok. – Nie chciałem ci tego mówić wcze-

śniej, ale ona od początku wyglądała mi na taką, co leci przede wszystkim na kasę. Ten kolo w beemce to jakiś przygłup był straszny, ale miał najnowszy model bryki. Czaisz...

– Czaję. A wydawała się niegłupia i sympatyczna, kumasz? Po studiach i w ogóle... Ale może to i lepiej? Tylko wiesz... tam gdzieś w środku coś tak...

– Pusto? Wiem, wiem – Piotr pokiwał głową. – Nie musisz mówić.

Obaj siedzieli długą chwilę w milczeniu, opróżniając powoli kufle. Dopiero gdy Tadeusz sięgnął po kolejną dwie puszki, policjant odezwał się:

– Jest sprawa. Myślę, że możesz nam pomóc. A przy tym dorobisz trochę na zleceniu.

– Co? Firma?

Komisarz przytaknął.

– Ponad tydzień temu na Glinkach znaleziono zwłoki. Miejscy przekazali je nam do identyfikacji, bo mamy odpowiednie laboratorium. Sam je ustawiałeś. Zrobiliśmy wizję lokalną, wywiad środowiskowy, ale utknęliśmy. Tyle że udało nam się zidentyfikować ciało, ale poza jednym, dziwnym tropem, nie mamy nic.

– Rozumiem, że opcja samobójstwa została z jakichś powodów wykluczona? – zapytał Tadeusz, sięgając po pilota. Włączył muzykę.

– Wiesz, słyszałem o samurajach, którzy potrafili rozpruć sobie brzuch podczas harakiri i jeszcze wypowiedzieć haiku, zanim padli, ale nie sądzę, by ktokolwiek był w stanie wyrwać sobie wszystkie wnętrzności, rozwlec je po podłodze i na koniec oderwać głowę i położyć na środku pentagramu.

– Pentagramu?

– Czy jak to się tam nazywa.

– No, kręgi bywają różne...

– Tak, wiem – Piotr machnął ręką w stronę półki z książkami. – Ty też w tym siedzisz.

– Tylko teoretycznie – Tadeusz skrzywił się z niesmakiem. – Nie bawię się w rysowanie kręgów i przyzywanie demonów.

– Tak czy siak, masz o tym jakieś pojęcie. I dlatego dzisiaj rozmawiałem ze starym. Bonkiewicz zgodził się, żebyś po podpisaniu papierów dołączył do grupy dochodzeniowej.

– I sądzisz, że mogę się wam przydać?

Policjant z poważną miną pochylił się nad stolikiem.

– Tadek, powiem ci wprost. Siedzimy w dupie i nie wiemy, jak wyjść. Jeśli nic z tą sprawą nie zrobimy, przyjadą waźniaki z CBS. Taka procedura. A komendant powiedział, że to sprawa honoru, żeby swoje sprawy załatwiać na swoim podwórku. Poza tym, jak CBS, to zlecą się tu telewizory ze wszystkich stacji, będą węszyć i robić te swoje dziennikarskie dochodzenia. Wiesz, jaki się burdel zrobi?

– No wyobrażam sobie – fizyk wstał i ruszył do kuchni. Po chwili wrócił z dwiema zimnymi puszkami „Heinekena”. – To gdzie i kiedy mam podpisać te papiery?

– Jutro wpadnij przed trzecią do komendy. Załatwimy wszystko. I od razu zabiorę cię na miejsce.

Dopili poprzednie piwo i nalali sobie następną kolejkę. Za oknem zapadł już zmrok. Tadeusz sączył złoty napój, myślami krążąc wokół opowieści przyjaciela. Pracował już dla policji, ale tym razem miał wziąć udział w śledztwie. Spodobała mu się ta perspektywa. Wspomnienie przykrej rozmowy w kawiarni powoli bladło i zaczynało się rozpląwać.

Formalności trwały kwadrans. Tadeusz przeczytał regulaminy i klauzule tajności, wypełnił dwa formularze i podpisał kilka kartek. Otrzymał identyfikator pozwalający na poruszanie się po budynku policyjnym, uścisnął dłoń siwemu pracownikowi działu kadr i razem z Piotrem wyszli na parking na tyłach komendy. Komisarz wskazał ciemnozielonego opla.

Powoli, odczekując swoje w korkach na Wyszyńskie-
go, przejechali most na Brdzie i pomknęli Nizinami w kie-
runku Glinek. Kilka minut później zatrzymali się niedale-
ko zaniedbanej posesji, w bocznej uliczce od Cmentarnej.
Policjant zamknął samochód i podszedł do furtki. Tadeusz
rzucił okiem na nieodległy las i ruszył za kolegą.

Komisarz skinął głową dwóm funkcjonariuszom, sie-
dzącym w zaparkowanym przy płocie polonezie. Potem
wraz z fizykiem minęli parterowy murowany dom i przeszli
przez zarośnięte, zagracone podwórko. Weszli do odrapa-
nej, pomalowanej wapnem oficyny.

– Ale wali – skrzywił się Tadeusz.

– Waliło to dziesięć dni temu, jak leżał tu trup. Teraz to
wspomnienie – Piotr otworzył na oścież jedyne okno.

Na drewnianej podłodze wymalowano składający się
z trzech pierścieni krąg, wypełniony przeróżnymi symbola-
mi i literami kilku alfabetów, głównie łaciny i greki. Poja-
wiały się też pojedyncze znaki alfabetu hebrajskiego. Białe
linie zachłapane były ciemnymi już smugami zaschłej krwi.

– Musieliśmy sprzątnąć ciało do prosektorium, bo nie
dało się pracować. Ale mamy pełną dokumentację fotogra-
ficzną, co gdzie leżało – Piotr spoglądał na kolegę.

– Jatka... – Tadeusz przyglądał się symbolom na pod-
łodze. Potem skierował uwagę na kilka mebli. W kątach
stały wielkie trójramienne kandelabry, pod jedną ze ścian
regał z książkami i mnóstwem dziwacznych drobiazgów,
obok niego pulpit z dużą książką w skórzaney okładce. Pod
drugiej stronie pokoju stała prosta, zamykana na kłódkę
drewniana skrzynia. Dokładnie naprzeciwko drzwi, na nie-
wielkim stoliku, nakrytym fioletowym, haftowanym obru-
sem, stały małe świeczniki, dzwonek, dwie patery z głową
kozła i pięcioramienną gwiazdą wpisaną w okrąg oraz kilka
innych dziwnych przedmiotów.

– Wygląda jak scenografia do kiepskiego horroru.
Może facet kręcił tu jakieś filmiki? – Tadeusz oderwał
wzrok od wzorów na obrusie.

– Albo okultystyczne porno z nagimi panienkami na środku kręgu – komisarz wzruszył ramionami. – Każda teoria na razie jest dobra. Nawet ta najbzdurniejsza.

– Mogę przejrzeć te rzeczy? – zapytał fizyk. – Może w książkach coś będzie? Albo w tej skrzyni?

– Czekaj, przyniosę rękawiczki – Piotr wyszedł z oficy. Tadeusz na chwilę został sam. Spoglądał na plamy zaschniętej krwi na podłodze i brunatne smugi na ścianach. Trudno mu było uwierzyć, że rzeczywiście miało tu miejsce morderstwo. Wszystko wyglądało tak... nierealnie. Właśnie jak z jakiegoś taniego filmu grozy.

Wrócił Piotr. Podał koledze dwie winylowe rękawiczki. Sam nałożył drugą parę.

– Sprawdziliśmy wszystko. Światło, ultrafiolet, nawet zakichane szkła powiększające, jak u Sherlocka. Spec od drewna powiedział jedynie, że te zadrapania na podłodze są świeże, sprzed kilku dni – wskazał na głębokie bruzdy, przecinające krąg w paru miejscach. – I jeszcze tutaj, na framudze, na wysokości głowy, znaleźliśmy jeden, długi włos.

– Długi włos? – Tadeusz przyjrzał się oznaczonej żółtą naklejką zadrze.

– Tak. Jeden cienki, siwy albo srebrny włos. Mamy go w laboratorium, nasi robią testy DNA. Powinny być na wczoraj, ale doktorak coś tam mamrotał, że muszą potwierdzić wyniki i tak dalej.

– Jaki kolor włosów miała ofiara?

– Myślałem o tym, że może to jego jakiś siwy, bo koleś był po czterdziestkę i nosił długie kudły, jak na metala przystało. Czekamy na testy.

– Słuchał metala?

– Tak. W domu ma całą kolekcję płyt najróżniejszych zespołów, głównie szwedzkich i norweskich. Tyle, że to nic nam nie daje – Piotr wzruszył ramionami.

Tadeusz skinął głową. Rzucił okiem na książki leżące na półkach. Ofiara, kimkolwiek była, musiała mieć obse-

się na punkcie magii, demonów i praktyk okultystycznych. Cała historia coraz bardziej go intrygowała. Sam interesował się podobnymi sprawami, zawsze jednak starał się konfrontować wszystko z twardymi regułami fizyki. Musiał niestety przyznać, że nie każda tajemnica dawała się rozwiązać za pomocą wiedzy naukowej. Kilka razy w swojej amatorskiej karierze badacza napotkał na rzeczy, których nie potrafił wyjaśnić. Tym bardziej go kusily i pociągały swa tajemniczością.

– Chodźmy. Chciałbym zacząć od całej dokumentacji sprawy – zdjął rękawiczki i opuścił budynek.

– Czyli wracamy do firmy – Piotr zamknął starannie okno i drzwi i zabezpieczył je na nowo. Potem zamienił kilka słów z policjantami pilnującymi posesji, zwrócił im klucze do oficyny i dołączył do czekającego koło opla Tadeusza.

Wieczór zastał obu mężczyzn w niewielkim pokoju na drugim piętrze komendy wojewódzkiej. Fizyk siedział przy biurku, czytając wszystkie notatki i oglądając zdjęcia. Komisarz ze znudzoną miną przeglądał na komputerze fragment po fragmencie film z wizji lokalnej.

Tadeusz czasem zadawał koledze pytania o szczegóły. Powoli wyłaniał mu się obraz historii. Samotny mężczyzna, rozwiedziony kilkanaście lat wcześniej, nie utrzymujący żadnych kontaktów z pełnoletnim synem, dom odziedziczył po zmarłych rodzicach. Wykształcenie średnie, bezrobotny dorabiający okazjnie i nie zawsze legalnie. Nie sprawiał problemów sąsiadom, uchodził za dziwaka i samotnika. Brak problemów alkoholowych, w domu znaleziono niewielkie ilości marihuany i grzybków halucynogennych. Głęboka fascynacja okultyzmem, śmiercią, życiem pozagrobowym i demonami.

Fizyk westchnął, na chwilę odrywając się od lektury. Taka mieszanka rzeczywiście mogła skrzywić umysł.

– Herbaty? – usłyszał pytanie przyjaciela.

– Kawy? – odpowiedział pytaniem.

Piotr skinął głową i wyszedł z pokoju. Za oknem po-
wiał gwałtowny wiatr, uderzając w szybę strugą deszczu.
Tadeusz przesiadł się do komputera i puścił plik filmowy.
Spokojny głos policjanta komentował wszystko, co reje-
strowała kamera. Na dole ekranu migwały cyferki zegara.
Czasem w tle dało się słyszeć uwagi innych uczestników
wizji.

„Kurwa, ale rozpierdol...”

„Kto go tak urządził?...”

„Panuj nad językiem, to się nagrywa...”

„Co to był za świr?”

Na zbliżeniach widać było zmasakrowane części ciała.
Korpus leżał skręcony, z żebrami wystającymi z wielkiej,
poszarpanej dziury. Wokół wałały się trzewia. Przyduszo-
ny głos relacjonował każde znalezisko. Wizja kończyła się
krótkim „Idę się wyrzygać”.

Wrócił Piotr, niosąc dwa kubki. Tadeusz otworzył
śmietankę i wlał do kawy. Spojrzał na kolegę.

– Coś wspominałeś o tropach...

– W zasadzie o jednym. Ten włos. Rano mają być wy-
niki. Technik coś płątał się w zeznaniach, robili aż cztery
testy porównawcze, ciekawe dlaczego.

– Zobaczymy jutro. Czyli poza tym włosem, nie ma-
cie żadnych, ale to żadnych śladów? Nikt z sąsiadów nic
nie widział, nie słyszał?

– Tadek, pytaliśmy ludzi w okolicy. I albo nikt nic nie
wie, albo nie chce wiedzieć. Problem w tym, że nie mamy
z czym połączyć tej śmierci. Nie działa u nas żadna gru-
pa satanistów, nikt nie morduje kotów na cmentarzach,
ostatnio też nie słyszeliśmy o żadnych rytualnych mor-
dach nieletnich dziewczec.

– Poczekajmy do jutra na te wyniki. Rano muszę być
na uczelni, mam zajęcia ze studentami przez cały dzień.
Zadzwoń jak będę wolny. Odbierzesz mnie z Fordonu?

Dobrze byłoby przeszukać jego książki. Może ma jakieś notatki, alboco. Wiesz... potężni magowie przyzywający demony zwykle prowadzą dzienniki.

– Jasne. I mieszkają w wysokich wieżach albo na jedenastym piętrze wieżowca – Piotr zrobił głupią minę. – Ale pomysł z książkami nie jest głupi. Tylko że ekipa dochodzeniowa z miejskiej przejrzała już wszystko i nie znaleźli żadnych notatek, listów, nic. Informatyk sprawdził komputer denata, ale koleś regularnie kasował wszystkie maile ze skrzynki.

– Ja popytam w paru sklepach ezoterycznych, może któryś ze sprzedawców go znał.

– To wiesz co? Może ja to zrobię, to w końcu ja tu jestem gliną – Piotr odstawił herbatę na biurko. – Zapisz mi tylko adresy, to jutro obskoczę miasto.

Tadeusz skinął głową. Wziął czystą kartkę z drukarki i spisał cztery nazwy sklepów i księgarń, które przysłały mu na myśl.

– Zajrzyj też do antykwariatów. Nigdy nic nie wiadomo – podał kartkę koledze. – Ja spadam do domu, muszę się wyspać.

Czwartek był dniem dwóch wykładów i ćwiczeń. Tadeusz od dziewiątej rano opowiadał studentom najpierw o podstawach fizyki kwantowej, później z trzecim rokiem omawiał badania pozasłonecznych układów planetarnych. Po krótkiej przerwie spotkał się z następną grupą na ćwiczeniach z optyki. Wreszcie, o wpół do czwartej wyszedł przed wydział, zapinając kurtkę i zakładając kaptur. Jesienny deszcz lał od rana.

Piotr podjechał kwadrans później. Gdy fizyk wsiadł do samochodu, usłyszał:

– Mam coś. Pan Dobrcz, czyli nasz denat, znany był przynajmniej trzem sprzedawcom we wskazanych przez ciebie sklepach – policjant uruchomił silnik i powoli wy-

jechał z pustego parkingu. – A w zeszłym miesiącu, w antykwariacie na Śniadeckich kupił starą książkę. I tutaj kolejna zagwozdzka. Sprzedawca nie pamiętał, kto przyniósł mu ten starodruk do sklepu.

– Starodruk?

– Dziadek twierdzi, że książka mogła być wydana nawet w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Nie wiedział o niej, aż do chwili, gdy Dobrcz podał mu ją przy kasie.

– Wiesz, książka o niczym nie świadczy. Poza tym, są antykwariusze i antykwariusze. Jeden zna na pamięć każdą pierdółkę w swoim sklepie, drugi ma burdel taki, że sprzedaje własny płaszcz, nie wiedząc o tym.

– Jasne – przytaknął Piotr włączając się w ruch na Fordońskiej. – Tyle że podobno ta książka pełna była obrazków z diabłami i była po francusku. To sprzedawca zapamiętał. Pojedziemy więc jeszcze raz na Glinki i poszukamy jej. Nawet jeśli nie ma nic wspólnego ze sprawą, o ile wiem, dziewiętnastowieczne druki podpadają pod ustawę o ochronie zabytków. Taka książka nie bierze się znikąd.

Zapikał służbowy telefon Piotra.

– Tadek, zobacz od kogo to. Od rana czekam na wyniki z laboratorium.

– Jeszcze ich nie dostałeś? – fizyk chwycił komórkę i otworzył wiadomość. – „Czekam w firmie. Pilne. Lech”.

– O kuźwa – komisarz gwałtownie zmienił pas w prawo. – To od technika. Skoczmy Kamienną. Wyjmij koguta ze skrytki i na dach go.

Tadeusz spełnił polecenie. Otworzył szybę i umieścił migające światło na dachu opla. Piotr włączył sygnał i przyspieszył. Kierowcy zjeżdżali na bok, posłusznie robiąc miejsce dla uprzywilejowanego samochodu.

Kilka minut później zatrzymali się na podjeździe przed komendą. Prawie biegiem wpadli do budynku, machając dyżurnemu w okienku identyfikatorami. Technik czekał w holu na parterze. Mężczyźni podali sobie dłonie.

– Chodźcie do pracowni, tego nie da się wyjaśnić w dwóch słowach – grzecznie uczesany okularnik w białym fartuchu wskazał jeden z korytarzy. Wyglądał na wstrząśniętego. – I obawiam się, że będziemy musieli zawiadomić Warszawę.

– Czemu? – spytał, idący przodem Piotr.

– Najkrócej. Wiecie co to DNA. Ma je każde żyjące zwierze, w tym i ludzie. W każdej komórce ciała. Włosy, paznokcie, krew. Używamy go do identyfikacji zwłok, ustalania ojcostwa i tak dalej – technik szedł za Tadeuszem, gestykulując. Doszli do zakrętu i zeszli schodami do piwnicy. – Testy tego włosa powtarzaliśmy cztery razy, bo wyniki były absurdalne za każdym razem. Pobieraliśmy próbki z całej długości, ale w żadnej z nich po prostu nie było DNA!

– Jak to nie było? – fizyk spojrzał przez ramię. – To jak powstał ten włos?

– Właśnie o to chodzi, że zgodnie z wiedzą współczesnej medycyny nie miał prawa powstać. Owszem, składa się z białek, dokładnie takich samych, jak każdy normalny włos, ale nie ma w nim ani cząsteczki materiału genetycznego.

Zatrzymali się przez aluminiowymi drzwiami z zamkiem elektronicznym. Technik przejechał kartą przez czytnik i na panelu zaświeciła zielona dioda. Weszli do pomieszczenia, zastawionego stołami pełnymi mikroskopów, komputerów, mieszadeł, stojaków na próbówki i książek z zakresu medycyny sądowej.

– Nie ma ani DNA, ani RNA, żadnego kodu genetycznego. Ani jednego pieprzonego nukleotydu. Nie wiem, jak to wytłumaczyć – technik wziął z drukarki plik wydruków. – Tu macie wyniki. Powtórzyliśmy wszystko pięć razy. Maszyny są sprawne. Diagnostyka i testy standardowe wypadają w porządku. Moje włosy mają oba kwasy, Staszka i Beaty też. Nawet muchę zgarnęliśmy na wszelki wypadek, ale ona też miała swoje DNA. A ten włos...

– Inwazja obcych? – Tadeusz spojrział na technika uśmiechając się lekko.

– A żeby pan wiedział, panie Tadku. Takie wyjaśnienie ma swoją logikę. Albo to ewenement na skalę ziemską, albo... pozaziemską.

Piotr podszedł do wiszącego na ścianie telefonu. Podniósł słuchawkę i wystukał numer.

– Grażyna? Słuchaj, czy komendant jest jeszcze u siebie? Ja w sprawie Dobrcza. Pilne bardzo.

Odczekał chwilę, słuchając odpowiedzi sekretarki i zwrócił się do pozostałych mężczyzn:

– Idziemy na górę.

Komendant Mariusz Bonkiewicz lata młodości miał już za sobą. Tylko dlatego pozostał tak długo w policji, że w latach dziewięćdziesiątych przeszedł pomyślnie weryfikację funkcjonariuszy MO. Był jednym z tych nielicznych oficerów, których wiedzę i doświadczenie oceniono wyżej, niż oddanie dawnemu systemowi politycznemu. I choć ciągle jeszcze zdarzało mu się słyszeć od młodszych karierowiczów uwagi na temat starych zomowców, wzruszał ramionami, mówiąc zwykle, że na dwa lata przed emeryturą nie warto psuć sobie opinii sprawą dyscyplinarną za pobicie jakiegoś szczeniaka, który w osiemdziesiątym pierwszym bawił się plastikowym czołgiem w przedszkolu.

Bonkiewicz szerokim gestem zaprosił całą trójkę do swojego gabinetu, zaproponował kawę i usiadł za biurkiem.

– Co tam macie, komisarzy Kownacki?

– Jaja na skalę kosmiczną, panie komendancie – Piotr wręczył szefowi plik z wynikami laboratoryjnymi.

– Co wy mi tu... – stary policjant kartka po kartce przejrzał raport. Spojrział na technika. – Leszek? Po ludzku proszę?

– Albo wszystkie maszyny się popsuly, albo czterech specjalistów popełniło gdzieś błąd, albo wyniki są prawdziwe i mamy coś, o czym świat nie słyszał, panie komendancie – technik nerwowo przecesał palcami grzywkę.

– Czyli?

– Eksperyment genetyczny Rosjan? Amerykanów? Japończyków? Ślady po kosmicie? Taki włos nie ma prawa istnieć.

– A jednak istnieje – Bonkiewicz odłożył papiery na biurko. – Co poza tym w sprawie?

Odezwał się Piotr.

– Sprawdzamy kontakty i znajomości denata. Bywał w sklepach z newagowymi pierdołami i w antykwariatach. Ostatnio kupił jakąś starą książkę. Chcemy z Tadeuszem sprawdzić czy nie ma jej w domu. To może wyjaśnić morderstwo.

– Jak?

– To tylko robocza teoria, szefie, ale może ktoś dokonał napadu rabunkowego, zabrał starodruk i pochłastał ofiarę, żeby zatrzeć ślady?

– Ale tam nie było żadnych śladów, prawda? – komendant spojrzął z ukosa na komisarza. Przynajmniej nic takiego nie znaleźliście.

– No nie było, to fakt. Ale ma pan lepsze wytłumaczenie?

– Nie. I dlatego przykro mi bardzo, ale muszę powiadomić Warszawę. Zwłaszcza, jeśli te wyniki – Bonkiewicz machnął ręką w stronę analiz laboratoryjnych – są takie sensacyjne.

– Szefie, musimy?

– Piotr, ja rozumiem. Sam mówiłem, że nasze sprawy załatwiamy naszymi siłami, ale w tym wypadku chyba sam przyznasz, że to nas nieco przerasta? Im szybciej znajdziemy jakieś rzetelne tropy, tym lepiej. A w tym może pomóc nam centrala – komendant chwycił słuchawkę.

– Ale może poczekajmy do poniedziałku? Jutro zaczyna się weekend, przynajmniej sprawdzimy z Tadkiem tę książkę...

Bonkiewicz zawahał się chwilę. Odłożył słuchawkę.

– Do poniedziałku. Niezależnie co znajdziecie, o dwunastej dzwonię do Warszawy.

Deszcz padał nieustannie, zalewając miasto strugami wody. Samochody, jeden za drugim, wlokły się przez zatłoczone ulice. Poprzez mokrą szybę Tadeusz spoglądał zamyślony na rozmyte czerwone światła srebrnego forda przed nimi. Jechali przez most Bernardyński, kierując się w stronę Gliniek. Minęli rondo i Piotr dodał gazu.

– Masz jakieś pomysły, co to może być? – zapytał Tadeusz, przerywając ciszę.

– Nie. Zupełnie – policjant skrzywił w boczną ulicę. – Wiesz, ja jestem od łapania bandytów, nie znam się na biologii. O testach DNA wiem tyle, że pomagają znaleźć drania, ewentualnie ojca niechcianego dziecka.

– Widzisz, z tym włosom to tak jakby... ja wiem? Mieć mleko bez krowy, jajko bez kury, kaca bez alkoholu... No po prostu nie da się! Przynajmniej ja nie słyszałem o tym, by ktokolwiek na ziemi był w stanie stworzyć tak złożoną tkankę w sztuczny sposób.

– Klonowanie?

– Nie, to zupełnie inna bajka. Inna sprawa, że teoretycznie mógłbyś pozbawić komórkę kodu genetycznego, ale to jedną, dwie czy sto. A w tym włosie są miliony komórek. Może to efekt jakiegoś promieniowania? Nie mam pojęcia.

– Ja tym bardziej. Jesteśmy na miejscu – Piotr zatrzymał samochód przed znajomą bramą. Mężczyźni wysiedli i przebiegli w deszczu parę metrów, dzielących ich od drzwi parterowego domku. Komisarz zapukał w szybę stojącego obok poloneza, która uchyliła się. Siedzący w środku policjant podał Piotrowi klucze. Tadeusz usłyszał pytanie:

– Może skoczę do sklepu po coś do żarcia, panie komisarzu? Zmiana przyjedzie dopiero o ósmej, a my tu bez obiadu siedzimy.

– Dobra – Piotr skinął głową i wrócił do Tadeusza. Razem weszli do zagraconego domu. Widać, że właściciel nie przejmował się zbytnio bałaganem. Pod ścianami przedpokoju walały się buty, w kuchni koło zlewu wciąż leżała sterta brudnych naczyń. Wszystko wyglądało, jakby gospodarz wybiegł rano w pośpiechu do pracy i jeszcze nie wrócił.

– Staraj się nie przestawiać niepotrzebnie mebli i nie przesuwać przedmiotów – komisarz pouczył Tadeusza i podał mu parę rękawiczek. – Wiesz, nigdy nie wiadomo, co ludzie z Warszawy będą chcieli tutaj robić, lepiej nie mieszać za bardzo.

– Jasne – odpowiedział fizyk, rozglądając się. – I tak interesuje nas tylko książka.

Powoli i metodycznie przeszukali cały domek, szukając starego woluminu. I chociaż znaleźli kilka pozycji wyglądających na dość stare, wszystkie wydrukowano w dwudziestym wieku i żadna nie miała ilustracji choć odrobinę przypominających wspomniane przez antykwariusza.

– Muszę powiedzieć, że koleś ma kilka ciekawych tytułów – Tadeusz jeszcze raz rzucił okiem na regał w jedyнным pokoju. – I chyba rzeczywiście znał francuski, o patrz: cała seria po ichniemu.

– I angielski – Piotr podniósł niewielką książkę z wielkim nazwiskiem autora. Wytłoczone w czarnej skórze złote litery „Angelology through the Ages” były prawie całkiem wytarte.

– Teraz do oficyny?

Policjant skinął głową.

Tadeusz wrócił do domu dobrze po zmroku, z ulgą wieszając mokrą kurtkę w przedpokoju. Nie znaleźli nic. Żadnej książki choć w połowie przypominającej tę z opisu antykwariusza. Być może Dobrcz pożyczył ją komuś albo trzymał w jakimś dziwnym miejscu, na przykład pod cegłą, za beczką na podwórzu. Albo rzeczywiście zabrał ją sprawca morderstwa. Tak czy siak, książka okazała się być ślepym tropem.

Nastawił wodę i wyciągnął z lodówki talerz z pozostałymi ze śniadania kanapkami. Przebrał się i wrócił do kuchni, by dolać do porannej herbaty trochę ciepłej wody. Z tą niewielką kolacją siadł do komputera. W skrzynce mailowej nie było nic ciekawego. Na stronach, które zwykle odwiedzał, także nie znalazł specjalnych sensacji. Wiadomości z kraju i ze świata przeleciał jedynie wzrokiem.

Zamknął przeglądarkę i spojrzał w twarz Barbary. Dziewczyna uśmiechała się do niego ze zdjęcia na tapecie monitora. Kliknął kilka razy i słoneczna fotografia zniknęła. Na czarnym ekranie pozostały jedynie równo poukładane ikonki. Tadeusz zaczął kolejną kanapkę. Spojrzał przez okno na zasnute deszczem miasto. Prawdopodobnie gdzieś tam w dole, w którymś z klubów Baśka zaczynała weekend w towarzystwie nowego faceta, właściciela wypaszonego BMW.

Włączył cicho muzykę. Oparł się na krzesło i wolno przeżuwał kanapkę. Wrócił myślami do rzeczywistości. Następnego dnia musiał wstać wcześniej. Przez cały weekend miał zajęcia ze studentami zaocznymi, sprawa Dobrcza musiała poczekać do poniedziałku. Skończył kolację, przejrzał notatki na wykłady i zaczął szykować się do snu.

Weekend minął niezauważenie. Cały czas lało. Dopiero w niedzielę pod wieczór na chwilę wyjrzało słońce, oświetlając miasto czerwonym światłem. Powiał delikatny, chłodny wiatr z zachodu.

Tadeusz umówił się telefonicznie z Piotrem na następny dzień. Komisarz próbował znaleźć jakąkolwiek wskazówkę, jakkolwiek nowy trop w sprawie, ale bezskutecznie. Ponowne wizyty u sąsiadów zabitego oraz w ezoterycznych sklepikach nie przyniosły żadnych efektów.

– Poddaję się, Tadek. Niech jutro stary dzwoni do Warszawy, może centrala coś wykombinuje – głos policjanta zdradzał zmęczenie i irytację. Nikt nie lubi przegrywać, a Piotr nie lubił w szczególności.

– Czyli co? Koniec naszego udziału? Dużo sobie nie popracowałem...

– To zależy kogo nam przyślą. Czasem centralni lubią współdziałać, często po prostu nadzorując i wspomagając śledztwo. Ale czasem zgrywiają ważniaków, co to sami sobie poradzą. Zobaczymy. Tak czy siak, bądź jutro w południe w komendzie. Możesz?

– Jasne. Nie mam żadnych zajęć w poniedziałek. Tylko po południu jadę do znajomego odebrać maszynę.

Komisarz pożegnał się i rozłączył. Tadeusz przeszedł do kuchni i zajrzał do lodówki. Westchnął cicho. Półki znowu świeciły pustkami. Głód był jednak większy od lenistwa. Chwycił kurtkę i wyszedł z domu kupić cokolwiek do jedzenia.

Na murku przed blokiem siedział w dostojnej pozie olbrzymi czarny kocur. Niewiele sobie robił z zimnego wiatru, rozglądając się spokojnie po okolicy. Ogon podwinął pod siebie, koniec kładąc na przednich łapach. Kiedy tylko Tadeusz pojawił się w drzwiach, kot wbił w niego wzrok. Zielone ślepia patrzyły w skupieniu na przechodzącego mężczyznę. Fizyk, idąc w stronę osiedlowego sklepu, obojętnie minął zwierzaka. Kot ziewnął, wyprostował się i spokojnym krokiem podreptał pod blok. Potem przecisnął się przez uchylone okienko piwniczne i zniknął w ciemności.

Żółty ser, keczup i paczka parówek kosztowały razem kilkanaście złotych. Tadeusz odebrał resztę przy kasie, powkładał zakupy do kieszeni i wyszedł ze sklepu. Droga pod blok zajęła mu dwie minuty. Przy windzie czekał kot.

Mężczyzna poczekał aż drzwi się otworzą i wszedł do kabiny. Czarny cień wsunął się tuż za nim.

– Co jest sierściuchu? Na które jedziesz?

Kot zignorował pytanie, wbijając wzrok w zamykające się drzwi. Fizyk nacisnął ostatni przycisk i winda ruszyła.

Mieszkanie Tadeusza znajdowało się na dziesiątym piętrze wieżowca, na samym końcu korytarza. Nieduża kawalerka w sam raz dla samotnego mężczyzny. W pogodny dzień z balkonu można było zobaczyć niemal całe miasto, aż po lotnisko na południu i Wisłę na wschodzie.

Kot ruszył tuż przy ścianie, metr za Tadeuszem. Zatrzymał się przy dużej doniczce z fikusem, czekając aż mężczyzna otworzy drzwi do mieszkania. Potem skoczył, chcąc wcisnąć się do mieszkania. Tu jednak spotkała go niespodzianka.

– Gdzie? – Tadeusz niemal krzyknął, gwałtownie przymykając drzwi tuż przed nosem zwierzęcia. Kocur zatrzymał się. Cofnął dwa kroki i uniósł głowę. Zielone oczy spojrzały z wyrzutem.

– Spadaj bydlaku – mężczyzna delikatnie, acz stanowczo odsunął kota nogą. Ten odskoczył i prychnął z oburzeniem. Patrzył, jak Tadeusz wchodzi do mieszkania. Potem spokojnie wszedł na wycieraczkę i niespiesznie, przednią łapą zaczął drapać ciemnoszare drzwi.

Parówki z serem cicho skwierczały w opiekaczu. Na talerzu czekały już kromki chleba z masłem. Tadeusz zaparzył herbatę i zastygł na moment z czajnikiem w ręku. Wyraźnie słyszał skrobanie. Przeszedł do przedpokoju i otworzył drzwi.

– Spier... – zaczął, ale kocur błyskawicznie przemknął między jego nogami znikając w kuchni. – Won, bo wyleję na ciebie ten wrzątek!

Mężczyzna z czajnikiem w dłoni ruszył za kotem. Spodziewał się wszystkiego. Oczekiwał, że kot rzuci się do ucieczki, nastroszy się, prychnie lub zrobi coś podobnego. Tymczasem czarne bydle rozłożyło się na środku podłogi i wyciągnęło rozkosznie. Zielone ślepia patrzyły na Tadeusza niewinnie.

– Wymiękam... – fizyk odstawił czajnik na miejsce i rzucił okiem na parówki. Wyłączył opiekacz. – Coś ci się poprzesztawiało. To nie jest twój dom, zbóju.

Kot przewrócił się na drugi bok i spokojnie zaczął lizać tylną łapę. Tadeusz poddał się. W końcu nic strasznego się nie stało. Zwierze przyszło, to i pójdzie. Wyjął parówki i przełożył na talerz. Wziął kolację i ruszył do pokoju. Kot po chwili dołączył do niego. Usiadł grzecznie na dywanie, rozglądając się leniwie. Potem powoli podszedł do Tadeusza i położył się na jego stopach.

Siedzieli we dwójkę, oglądając film na ekranie komputera. Za oknem było już zupełnie ciemno, wiatr przybrał na sile, gwiżdżąc pomiędzy prętami na balkonie. Tadeusz kończył piwo, głaszcząc kota za uszami.

– Ale żeby nie było, zbóju – odstawił pustą szklankę na stolik. – Śpisz na fotelu.

II

Zegar na ścianie gabinetu wskazywał siedem minut po dwunastej. Przy ciemnym, lśniącym, konferencyjnym biurku siedziało czterech mężczyzn. Komendant Bonkiewicz zaplótł dłonie nad plikiem leżących przed nim dokumentów.

– Panowie, zgodnie z umową, dzwoniłem do Warszawy. Do końca tygodnia przyślą nam człowieka, który rozpozna sprawę i skonsultuje się ze swoim szefostwem. Co będzie potem, zobaczymy. Panie Siekierski, tymczasowo zachowuje pan wszystkie uprawnienia. Ja osobiście ufam Piotrowi, wiem że dobiera sobie właściwych ludzi, ale jak powiedziałem, centrala o wszystkim zadecyduje. Proszę więc pozostać w kontakcie.

Tadeusz skinął głową. Komendant spojrzał na Piotra.

– Zbierzesz wszystkie papiery, uporządkujesz je, żeby były gotowe. Jakby co, skontaktuj się z Komendą Miejską, jeśli czegoś brakuje. Leszek – Bonkiewicz zwrócił się do technika laboratoryjnego. – To samo. Sprawdź, czy wszystko gra z próbkami, zwłaszcza jeśli chodzi o ten dziwny włos. Niech Warszawa nie ma powodów do kręcenia nosem, jak tu przyjedzie. Jeśli nagle coś wam jeszcze wpadnie, natychmiast dzwońcie do mnie. Nawet o północy. Jakieś pytania? Nie? To jesteście wolni. Przepraszam, ale wołają mnie obowiązki.

Trójka mężczyzn wstała od stołu. Pożegnali się z komendantem i wyszli z gabinetu.

– Jedziesz gdzieś? – zapytał Piotr, gdy byli już na korytarzu. – Znam niezłą knajpkę niedaleko, w sam raz na obiad.

– Muszę skoczyć do znajomego po motor. Miał mi zrobić przegląd na dziś. A potem nie mam planów.

– To co? Coś zjemy, a potem cię podrzucę.

– Jasne.

Nieduża restauracja po drugiej stronie ulicy o tej porze była jeszcze pusta. Mężczyźni zamówili dwa zestawy obiadowe i usiedli pod oknem. Tadeusz obserwował kolegę. Komisarz niespokojnie bawił się serwetką, to spoglądając w okno, to na swoje dłonie.

– Co jest? – zapytał wreszcie fizyk.

– Nie lubię takich sytuacji. Czuje się przegrany. Czuję, że coś zrobiłem niewłaściwie. Czaisz? Że zaniedbałem swoje obowiązki. Gdzieś coś przeoczyłem.

– Daj spokój. Jesteśmy tylko ludźmi. Nie zawsze wszystko się udaje.

– Tak, wiem – policjant podziękował skinieniem głowy kelnerce, która przyniosła dwie szklanki wody mineralnej. – Ale nie ma cudów, każda zbrodnia ma sprawcę. Może nie być jasnego motywu, może nie być świadków. Czasem nie ma dowodu. Czasem po prostu wiesz, że dany drań zabił, albo ukradł. Po prostu wiesz, bo wszystkie poszlaki na to wskazują. Nie możesz mu tego udowodnić, ale wiesz.

Piotr zaakcentował ostatnie słowo i przerwał na chwilę, by napić się wody.

– Masz kogoś. Trzymasz go za jaja, mimo że nie możesz ich urwać, ale z czystym sumieniem przekazujesz sprawę prokuraturze. A tutaj nie mamy nawet jednego podejrzanego! Nikogo! Już chłopaki z komendy dzielnicowej wykluczyli sąsiadów, bo wszyscy mieli jasne alibi. Sklepikarzy też sprawdziłem...

– Nie próżnowałeś – wszedł mu w słowo Tadeusz.

– Taka robota gliny. I wkurw mnie bierze, że nie znalazłem nikogo. Facet nie miał rodziny, o znajomych niewiele wiadomo. Być może trzeba sięgnąć głębiej, może ktoś z dawnych znajomych, z pracy, albo z kręgu tych świrów, co wierzą w magię...

Kelnerka przyniosła dwa talerze z apetycznie wyglądającym spaghetti. Przerwali rozmowę, zajmując się posiłkiem. Dopiero po dłuższej chwili Tadeusz spojrział na kumpla.

– Czy przejście sprawy przez Warszawę oznacza, że ty ją kończysz?

– To jest tak, jak stary mówił – Piotr wciągnął nitkę makaronu i oblizał usta. – Czasem przejmują śledztwo i możesz tylko dowiedzieć się o wynikach. A czasem uczciwie współpracują.

– To się nie stresuj. Przecież może się zdarzyć to drugie. Poczekajmy aż przyjadą.

– Ja to wszystko wiem, Tadek. Ale i tak gdzieś w środku moja policyjna duma śmieje się ze mnie.

– Jesteś przeambicjonowany, Piter. Zawsze taki byłeś. Wyluzuj, bo na starość skończysz na oddziale dla zawałowców.

– Wiem, już Bonkiewicz mi mówił, że jak tak dalej pójdzie, to kiedyś jakiś bandzior wpakuje mi kulkę. Ale nie mogę, kumasz? Kurwica mnie bierze na są myśl o tym, że ktoś łamie prawo i myśli, że może robić to bezkarnie!

– Kończ jeść, bo ci wystygnie – Tadeusz pokręcił głową z uśmiechem. Doskonale rozumiał motywy kolegi. Piotr był ze wszech miar uczciwym człowiekiem. Fizyk czasem porównywał go do bohaterów średniowiecznych legend, prawych i odważnych rycerzy, z poświęceniem walczących w imię słusznej sprawy. I podziwiał go za upór i wierność zasadom.

– Wiesz? – zmienił temat. – Wczoraj przypętał się do mojego mieszkania czarny kot.

Biegający po podwórzu wilczur rozszczękał się na widok podjeżdżającego samochodu. Zza rogu starej leśniczówki wyłonił się siwiejący mężczyzna w brudnej, poplamio-

nej smarem kurtce. Wycierał dłonie w czarną szmatę. Na widok wysiadającego Tadeusza uśmiechnął się szeroko.

– Witaj, Tadziu. Przepraszam, że cię nie uścisknę, ale widzisz – uniósł upaprane dłonie. – Motocykl gotowy. Wszystko sprawdziłem. Miałeś rozregulowane zawory i przepaloną jedną świecę. Musisz bardziej dbać o maszynę, chłopie.

– Dzięki wielkie, zapamiętam. Poznajcie się – fizyk wskazał na policjanta. – Piotr, Roman. Roman, Piotr.

– Witam kolegę mundurowego – siwy mężczyzna uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

– Skąd pan wie, że jestem w służbach? – zdziwił się komisarz.

– Ma pan za szybą przepustkę policyjną – Roman wskazał na samochód.

Tymczasem Tadeusz tarmosił wilczura, namiętnie obwąchującego jego nogi.

– Co, kota czujesz, co? – fizyk zmierzwił sierść na karku psa i delikatnie odsunął go od siebie. Zwrócił się do leśniczego. – Dziękuję za naprawę. Ile jestem ci winien?

– Daj spokój, Tadek. Tyle co kupiłem nową świecę, reszta to zabawa. Wiesz, że lubię grzebać w silnikach.

– To przynajmniej flaszkę ci postawię kiedyś.

– Wódka może być – leśniczy skinął głową. – Spieszcicie się gdzieś? Zapraszam na kawę.

Usiedli przy stole w salonie. Roman krzątał się w kuchni. Tadeusz z przyjemnością rozglądał się po znajomym pokoju. Stara szafa z przeszklonymi drzwiami kryła grube książki oraz mnóstwo bibelotów. Obok stał okazały kredens, pełen najróżniejszych butelek z alkoholami. Na ścianach wisały dziesiątki myśliwskich trofeów, głównie poroża jeleni i saren. Uwagę przykuwała spreparowana, szklanooka głowa wielkiego rogacza. Zwierzę zdawało się wpatrywać w obu mężczyzn.

Leśniczy przyniósł tackę z trzema kubkami i dzbanuszkim mleka. Usiadł na fotelu.

– Co tam Tadek u ciebie? Opowiadaj, tak rzadko odwiedzasz znajomego.

– A wiesz, jak to jest. Praca na uczelni, praca w policji...

– W policji? – roześmiał się Roman, nalewając mleko do swojej kawy.

– Poprosiłem go o pomoc w jednej sprawie – odezwał się Piotr. – Czasem korzystamy z pomocy specjalistów. Taniej wychodzi, niż trzymać etaty w komendzie.

– No tak, zlecenia. Nasza dyrekcja też wiele rzeczy zleca prywatnym firmom, takie czasy.

Siedzieli przez kilka chwil, rozmawiając o mało istotnych sprawach. Leśniczy zapalił papierosa, częstując też gości. Piotr odmówił, ale Tadeusz wziął jednego z paczki.

– Podobno niedawno na Glinkach zabili jakiegoś faceta – Roman rozparł się wygodnie w fotelu. – Złapali już kogoś?

– Pracujemy nad tym – Piotr wbił wzrok w biały kubek. – Na razie niewiele wiadomo.

– Kiedyś, jak jeszcze pracowałem pod Tucholą, znaleźli w lesie martwą dziewczynę. To było w środku sezonu turystycznego. Pomagałem wtedy jeszcze milicji w śledztwie, bo to było w moim leśnictwie. Ale z tego co wiem, sprawę zamknięto, bo nikogo nie byli w stanie namierzyć.

– Czasem tak bywa, że prawda wychodzi po latach – policjant pokiwał głową. – Mam nadzieję, że tym razem będzie inaczej.

– No, teraz macie testy genetyczne i całe te laboratoria, jak na amerykańskich filmach...

– Czasem i to nie pomaga. Nawet badania DNA nic nie dają.

– No ja nie wnिकam w tajemnice śledztwa – Roman uniósł dłonie. – Ale słyszałem, że policja od czasu do czasu korzysta z pomocy jasnowidzów.

– E tam, to bzdury moim zdaniem – zachnął się Piotr.
– A jednak czasem udaje się odnaleźć zaginionego – odezwał się milcząco dotychczas Tadeusz. – Nie możesz odrzucać takich metod jako bzdurnych, Piotrek. Nawet ja, jako fizyk muszę przyznać, że są na świecie sprawy jeszcze nie zbadane. Co nie znaczy, że nie istnieją.

Policjant pokręcił głową z dezaprobatą. Upił łyk kawy.

– Jeśli znacie kogokolwiek, kto może pomóc w sprawie tego zabójstwa, skontaktujcie go ze mną. Zobaczymy, ile jest wart.

Roman z tajemniczym uśmiechem zgasił papierosa w kryształowej popielniczce.

– Znam takiego kogoś. Może pomóc. Tylko potrzebuje jakiegoś przedmiotu należącego do ofiary. Albo najlepiej sprawcy. Fragmentu ubrania, dokumentu, czegokolwiek.

– Włos? – Tadeusz spojrzął z ukosa na leśniczego.

– Jak najbardziej może być.

– Chyba nie mówicie poważnie? – komisarz dopił kawę.

– A co ci szkodzi spróbować, Piotrek? – fizyk zgasił swojego papierosa. – Sam mówiłeś, że wszystkie wątki się urwały.

– Rozumiem, że to pan osobiście prowadzi śledztwo? – zapytał leśniczy. – Jeszcze kawy? Może herbaty?

– Nie, dziękuję. Będę zaraz jechał – Piotr grzecznie odmówił. – Tak się składa, że to ja pracuję nad tym morderstwem.

– To dobrze. Proszę przyjechać do mnie z jakimkolwiek przedmiotem związanym z ofiarą albo ze sprawcą. Zobaczymy, co da się zrobić.

– Szef mnie zabije za takie metody – policjant wstał z wersalki.

– Szef nic nie musi wiedzieć – Roman mrugnął okiem i uśmiechnął się szelmowsko. – Załatwimy to szybko, nikt się nie dowie.

Piotr pożegnał się z Tadeuszem, który zdecydował się zostać. Leśniczy odprowadził gościa do drzwi i po chwili wrócił. Z kredensu wyjął ciemnobrązową butelkę i dwa małe kieliszki.

– Dobrze. A teraz opowiadaj mi, o co chodzi z tym trupem na Glinkach. Jak mam wam pomóc, muszę znać więcej szczegółów.

Siekierski poczekał, aż gospodarz napełni kieliszki nalewką. Potem spróbował aromatycznego trunku. Poczul intensywny smak ziół i alkoholu.

– Podpisałem papiery o tajemnicy...

– Ale ja cię nie proszę o jakieś tajemnice, tylko o parę konkretów. Żadnych danych osobowych i tak dalej, to mnie nie interesuje – leśniczy uniósł swój kieliszek w geście toastu.

Tadeusz z westchnieniem krótko opisał całą historię. Roman wysłuchał jej do końca. I zadał pytanie, które zaskoczyło fizyka:

– Czy na miejscu masakry znaleziono jakiś charakterystyczny kamień?

– Kamień? O ile wiem, to nie...

– Żadnej biżuterii? Albo wisiora?

– Nie przypominam sobie – Tadeusz dokończył nalewkę. – Ale zapytam Piotra, może nie wspomniał mi o takim szczególe. A dlaczego to takie ważne?

– Bo to by rozwiązało kwestię sprawcy. W bardzo prosty sposób – Roman wziął swój kieliszek w trzy palce.

– Jaja sobie robisz, czy mówisz serio? – Siekierski zapytał z niedowierzaniem.

– Jestem jak najbardziej poważny. Sprawdźcie ten kamień. I przynieście go do mnie, jeśli znajdziecie. Razem z tym włosem.

– Nie wiem, czy Piotr się zgodzi, żeby ot tak wydać dowód osobie niezwiązanej ze sprawą.

Leśniczy jednym pewnym ruchem wlał w siebie zawartość kieliszka. Odetchnął głośno.

– Uch! Dobrze naciągnęła przez cały rok. Trzymałem ją od zeszłej jesieni. Nie ma to jak domowej roboty nalewka. Tadek, ja wiem, że jesteś fizykiem i nieraz kłóciliśmy się o pewne sprawy. Ja jednak wiem, co widziały moje oczy i żadna naukowa gadanina mnie nie przekona. Chcecie pomocy? Pomogę wam. I nie za jakąś kasę, jak to robią różni naciągacze. A o włos proszę nie z ciekawości, ale z konieczności. Bez niego niczego się nie dowiemy. Jeśli ten twój komisarz mi nie ufa, niech sam przywiezie ten włos i przez cały czas nie spuszcza z niego oka. Tylko niech się szykuje na mocne wrażenia.

Tadeusz wzruszył ramionami.

– No dobra. Przekażę mu. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Roman skinął głową i sięgnął po butelkę, ale Siekierski podziękował ruchem dłoni.

– Będę się zbierał, bo jak zostaną to mnie upijesz i do domu nie pojedę. Jeden i tak mi wystarczy. A jutro z rana mam zajęcia na uniwersytecie.

Mężczyźni wyszli z leśniczówki. Gospodarz zniknął za rogiem i po chwili wyprowadził zza niego lśniącego harleya. Motocykl błyszczał w promieniach jesiennego słońca.

– Jak nowy. Nalałem do pełna. Dbaj o niego.

Tadeusz z podziwem oglądał dzieło leśniczego. Roman nie tylko przejrzał silnik, ale wyczyścił ramę, zbiornik, koła i kierownicę razem z lusterkami. Maszyna rzeczywiście wyglądała, jakby dopiero co opuściła fabrykę. Fizyk z radością wsiadł na motocykl i zapalił. Silnik wydał z siebie znajomy, niski warkot.

– Wiszę ci flaszkę – uściśnił sobie dłonie i Tadeusz ostrożnie wyjechał na leśną drogę.

Roman z uśmiechem patrzył, jak harley oddala się w stronę miasta. A potem pogłaskał po łbie siedzącego obok wilczura.

Po zimnym i deszczowym weekendzie nastąpiła znów pogodna jesień. Październik miał się już ku końcowi, poranki były chłodne i zamglone. Mgły unosiły się późno, dopiero tuż przed południem ustępując miejsca słońcu.

Doktor Siekierski, ubrany w biały fartuch, oderwał wzrok od błękitnego nieba za oknem. Studenci już zajęli miejsca w pracowni i gotowi do ćwiczeń, skupili uwagę na wykładowcy. Ten przeszedł obok stołu z aparaturą i stanął koło tablicy. W grupie liczącej osiemnaście osób były zaledwie dwie kobiety. Nic dziwnego na kierunkach inżynierskich.

– W zeszłym tygodniu omówiliśmy na ćwiczeniach podstawy optyki, mieliście ten materiał też na wykładzie z profesorem. Dzisiaj zajmiemy się kolejnym zagadnieniem, bardzo praktycznym, mianowicie laserami. Wyjaśnię wam, czym w ogóle jest laser, jak jest zbudowany, jak działa i jakie mamy ich typy. A potem pobawimy się naszym laserowym działem.

– Będziemy coś rozwalać? – zapytał jeden ze studentów, kudłaty blondyn z szeroką szczęką. Grupa zarechotała radośnie.

– Oczywiście – Siekierski spokojnym ruchem poprawił okulary w czarnych oprawkach. – Spróbujemy rozwalić, jak to pan ujął, sąsiedni budynek inżynierii budowlanej. Mamy w instytucie miniaturę działła laserowego, jakie widział pan na pewno na Gwiezdnym Wojnach Lucasa.

Cisza, jaka zapadła po słowach Tadeusza i jego pełna politowania mina sprawiły, że chłopak zgarbił się nieco i uśmiechnął przepraszająco.

– A poważniej, zagadnienie budowy lasera zdolnego niszczyć cele, możemy omówić następnym razem – fizyk odwrócił się do tablicy. – Wraz z teoretycznymi obliczeniami. I chyba już mamy osobę zainteresowaną, która może na przyszły tydzień przygotować założenia konstrukcyjne takiego urządzenia, prawda panie Węgrowicz?

Kudłaty student pokiwał głową udając, że nie słyszy chichotu kolegów. Siekierski wziął do ręki czarny flamaster.
– Wróćmy teraz do tematu dzisiejszych zajęć...

W połowie ćwiczeń z kolejną grupą zadzwonił telefon Tadeusza. Ten spojrzął na wyświetlacz i przeprosił grupę, wychodząc na chwilę na korytarz.

– Lepiej, żeby to było coś poważnego, Piter. Mam zajęcia akurat.

– To jest coś poważnego – głos policjanta zdradzał napięcie. – Przyjechała Warszawka. Narobili dymu jakby chodziło o bezpieczeństwo narodowe. Machnęli mi przed oczyma legitymacjami WOS i potraktowali jak jakiegoś dzielnicowego. Wyobraź sobie, że kazali mi zanieść wszystkie akta do ich samochodu! Służącego sobie patafiany znalazły.

– Co to jest WOS? – zapytał Tadeusz, gdy wzburzony kolega przerwał, by nabrać tchu.

– Wydział Operacji Specjalnych. Kolesie chyba za dużo naoglądali się Jamesa Bonda i im odbiło. A najlepszy numer, że przywieźli ze sobą księdza. Ten to chyba jest wielbicielem inkwizycji. Po co ten klecha, nie rozumiem.

– Czekać, Piotrek. Zadzwonię do ciebie po zajęciach, studenci czekają – odparł Tadeusz i rozłączył się. Uśmiechnął się przepraszając w stronę groźnie spoglądającego zza wół uchylonych drzwi do sekretariatu dziekana.

Wreszcie nadszedł moment, gdy druga grupa opuściła pracownię. Siekierski starł tablicę i sprawdził, czy laser jest właściwie wyłączony. Potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Pozostały mu jeszcze tylko dwie godziny dyżuru i mógł jechać do domu.

Zszedł na pierwsze piętro, kupić coś do jedzenia w barze. Odczekał swoje w kolejce studentów, przywitał

się z panią Gabrysią i poprosił o butelkę napoju i kanapkę. W drodze powrotnej na piętro dogonił go nieznamy mężczyzna w ciemnym garniturze.

– Tadeusz Siekierski? – zapytał, zastępując mu drogę.

– Tak. W czym mogę panu pomóc?

– Nadkomisarz Mariusz Roszczak z Centralnego Biura Śledczego, Wydział Operacji Specjalnych – w rękę mężczyzny pojawiła się rozkładana legitymacja. – Czy znajdzie pan dla mnie chwilę?

– Oczywiście. Proszę ze mną do gabinetu, tam sobie usiądziemy i porozmawiamy.

Idąc po schodach Tadeusz w pełni przyznał rację Piotrowi. Koleś z biura wyglądał na pewnego siebie, nadętego bubka. I mimo że starał się być uprzejmy, po oczach widać było, że to wszystko jest tylko urzędową maską, mającą ukryć prawdziwe mniemanie o innych ludziach.

Gdy znaleźli się w pracowni, fizyk wskazał gościowi jedno z krzeseł. Sam usiadł przy biurku.

– Kilka dni temu został pan przyjęty do pracy jako biegły konsultant w śledztwie, prowadzonym przez Komendę Wojewódzką w Bydgoszczy – zaczął policjant.

– Zgadza się – przytaknął Tadeusz.

– Muszę pana poinformować, że w wyniku decyzji podjętych przez Komendę Główną Policji, nasza komórka przejmuje całkowicie śledztwo w sprawie zabójstwa Adama Dobrcza. Ponieważ mamy swoje metody operacyjne i swoich specjalistów, pańska pomoc w tym momencie staje się zbędna – mężczyzna wyjął z czarnej teczki kilka kartek. Położył je przed Tadeuszem. – Dlatego poproszono mnie, by poinformować pana, że z dniem dzisiejszym umowa podpisana w zeszłym tygodniu traci moc. Z wyjątkiem klauzuli tajności oczywiście. Nadal jest pan zobowiązany do zachowania milczenia w sprawie dochodzenia. Czy wyraziłem się jasno?

– Chwileczkę. Rozumiem, co pan mówi, chcę jednak potwierdzić te wiadomości – Siekierski wyjął telefon ko-

mórkowy i wyszukał numer Piotra. Siedzący naprzeciwko mężczyzna skinął głową, choć widać było, że wyraźnie nie w smak mu była odpowiedź Tadeusza.

Komisarz odebrał niemal natychmiast. Potwierdził słowa policjanta z Warszawy. Siekierski podziękował i rzucił okiem na podsunięte mu do podpisania papiery. Wszystko się zgadzało. Machnął niedbałe parafki w trzech miejscach.

– Jeszcze identyfikator proszę – Warszawiak wyciągnął dłoni.

– Jest w kurtce, chwilka – fizyk przeszedł na zaplecze pracowni. Wcale mu się nie spieszyło, wręcz przeciwnie. Powoli sprawdził wszystkie kieszenie i z ostatniej wyjął kartę magnetyczną ze swoim zdjęciem. Wrócił do sali i wręczył ją oficerowi.

– Dziękuję, to wszystko – Roszczak schował identyfikator, pożegnał się i wyszedł z pracowni. Tadeusz usiadł i sięgnął po kanapkę. Ciekaw był, czy policja zapłaci mu za ten niepełny tydzień.

Dyżury na początku zimowego semestru zawsze były spokojne. Studenci nigdy nie mieli problemów, o ile nie zbliżała się sesja lub nie trzeba było zaliczyć zawalonego kolokwium. Bardzo rzadko pojawiał się ktoś naprawdę zainteresowany tematem, chcący po prostu podyskutować. Dlatego też Tadeusz z czystym sumieniem zagłębił się w czeluściach Internetu, buszując po swoich ulubionych stronach. Dwie godziny minęły szybko. Zbierając się do domu zauważył migającą w komórce ikonkę wiadomości.

„Wpadnij do włoskiej knajpy koło komendy. Stawiam obiad” pisał Piotr. Siekierski odesłał krótkie „OK” i wyszedł z pracowni.

O tej porze Fordońska zatłoczona była niemiłosiernie. Ludzie wracali z pracy, przy każdym świetłach tworzyły

się korki. Tadeusz przeciskał się między samochodami, aż dotarł do Kamiennej. Tam było już luźniej. Kwadrans później zaparkował przed restauracją. Przez szybę zobaczył komisarza, rozmawiającego z technikiem. Zdjął kask, rozpiął kurtkę i wszedł do środka.

– A, to ty! – Piotr uniósł dłoń na powitanie. – Widziałem cię, ale nie poznałem w tym stroju rockersa.

– E tam rockersa. W moje reprezentacyjne szmaty ubieram się na złoty motorowe. Wtedy to już zupełnie byś mnie nie poznał.

– To ty też należysz do tych bałwanów, co walą dwie stowy po drogach lokalnych?

– Czy ja wyglądam na dawcę organów? Popytaj kumpli z drogowki, ile mandatów mi wlepili – Tadeusz usiadł przy stoliku i uściśnął dłoń Leszka. – Raz mnie tylko capnęli, za jazdę bez kasku. Ale wtedy jechałem tylko czterdzieści.

Kelnerka przyniosła kartę dań. Siekierski wybrał to samo spaghetti co ostatnim razem i poprosił o tonik z cytryną. Piotr poczekał, aż dziewczyna odejdzie i odezwał się, zrezygnowanym głosem:

– No to się posrało. Warszawka położyła łapy na sprawie. A robiło się ciekawie.

– Zobaczmy, co oni pokażą. W sumie nie było wyjścia, jak mówił stary – technik wyjął wykałaczkę ze stojącego na stole pudełka i zaczął się nią bawić.

– Przeglądałem sieć w poszukiwaniu informacji na temat tkanek bez DNA – zaczął Tadeusz. – Ale wszystko co znalazłem to opowieści dziwnej treści na stronach miłośników fantastyki albo teorii spiskowych. Żadnej konkretnej wiedzy.

– Bo to zaprzecza naszej nauce – skinął głową Leszek. – Ale istnieje, więc to nasza nauka musi się mylić.

– Naprawdę myślicie, że to historia hm... nie z tej ziemi? – Piotr wskazał palcem w górę. Pozostali dwaj mężczyźni wzruszyli ramionami.

– Cholera wie – Siekierski rozłożył ręce. – Tym bardziej nie mamy nic do stracenia, jeśli skorzystamy z propozycji Romana.

– Kto to jest Roman? – zaciekawiał się technik.

– Mój znajomy. Dość niesamowity facet. Twierdzi, że zna sposób na rozwiązanie zagadki morderstwa. Tylko potrzebuje jakiś przedmiot z miejsca zbrodni, albo ten włos.

– Tylko że centralni przejęli wszystkie dowody. Zabrali wszystko do Warszawy. Śmigłowcem. Wszystkie kawałki włosa też.

Leszek zaśmiał się złowrogo.

– Piotruś, nie doceniasz personelu, z którym pracujesz, wiesz? – spojrzał z triumfalnym uśmiechem na kolegę.

– Lechu?

– Ja nic – technik spojrzał przez szybę na ulicę. – Kawałek tego włosa po prostu został zniszczony w trakcie pobierania próbek. Dokładnie osiem centymetrów...

– Zniszczony... – komisarz wyszczerzył zęby. – Czyli co?

– Oficjalnie fragment spłonął pod lampą – Leszek wyjął niewielki, płaski przedmiot z wewnętrznej kieszeni kurtki. Był to zalaminowany, jasny włos. – Osiem centymetrów tajemnicy.

– Ale dlaczego... – spytał Tadeusz, pochylając się nad stołem.

– Nie raz już bywało, że CBS zgarniało sprawę i nikt więcej o niej nie słyszał. Oni generalnie odwalają dobrą robotę, ale wystarczy jeden telefon z ministerstwa, żeby nagle na przykład cały lewy transport karabinków maszynowych z Radomia po prostu zniknął. I sprawa przemytu broni przez morską granicę została zamknięta – Leszek ściszył nieco głos. – Oficjalnie z braku dowodów w sprawie. Wiesz, jakie jest życie.

– Tak, politycy – skinął głową Siekierski.

Kelnerka przyniosła obiad. Z uśmiechem zapytała, czy podać coś jeszcze, ale mężczyźni podziękowali. Poszła więc do kolejnego stolika. Leszek wziął kawałek laminatu w palce.

– Jeśli chcesz dalej, na własną rękę drążyć temat, Piotrek, mogę ci to dać.

– Jasne.

– Ale jeden warunek – technik podał komisarzowi włos. – Bierzesz mnie do pomocy. Mało mnie obchodzi ten rozerwany koleś, chcę po prostu wiedzieć, skąd się to wzięło.

– Tadek? – Piotr spojrzał na kolegę.

– Wchodzę – fizyk skinął głową.

Cała trójka w milczeniu zabrała się za posiłek.

Roman jechał spokojnie przecinką w głąb lasu. Jego stary, ale zadbane UAZ podskakiwał na korzeniach i nierównościach drogi.

– O, sarna! – Leszek wskazał palcem na przebiegające kilkadziesiąt kroków przed samochodem zwierzę.

– Dużo ich tutaj mamy – leśniczy uśmiechnął się z satysfakcją. – Jest też mała populacja jeleni i dzików. O drobnicy jak lisy czy zające nie wspominając.

– Nie sądziłem, że w podmiejskim lesie jest tyle zwierząt.

– Nie taki on podmiejski – Roman zwolnił i skręcił w lewo na skrzyżowaniu. – Jak wejdiesz w Bydgoszczy, możesz wyjść w Toruniu, cały czas idąc lasem. To kilkanaście leśnictw w sumie.

Technik z uznaniem pokiwał głową. UAZ wjechał w olbrzymią kałużę, rozchlapując wodę dookoła. Leśniczy zmienił bieg i dodał gazu. Samochód bez trudu pokonał przeszkodę, wyjeżdżając na suchy grunt.

– Stary, ale jary – poklepał kierownicę z zadowoleniem. – Ma ponad dwadzieścia lat, a chodzi prawie jak nowy.

– Ale części wymieniane? – zapytał Tadeusz.

– Oczywiście. Mam znajomego Rosjanina, mieszkającego na Uralu. Dostaję nowiutkie części prosto z fabryki. To trochę trwa, ale mam pewność, że są dobrej jakości. Ten samochód produkują nieprzerwanie od wielu lat. Jasne, że zmieniały się szczegóły, ale ogólnie model jest ten sam.

– Dzisiaj, w dobie jeepów i land roverów, stary gazik to jak zabytek – mruknął Piotr.

– To prawda, ale ja po prostu lubię ten samochód. Mógłbym sobie kupić jakiegoś landcruisera, ale potem bałbym się jeździć nim po lesie, żeby lakieru nie podrapać – leśniczy zatrzymał się na skraju poręby, pod okazałym dębem. – No, jesteśmy na miejscu. Teraz mały spacer.

Cała czwórka wysiadła z UAZa. Roman zabrał wypchany, płócienny plecak i wskazał wąską ścieżkę pomiędzy sosnami.

– Tędy proszę.

– A gdzie my w ogóle idziemy? – zapytał Leszek, poprawiając okulary na nosie i szczerzej zapinając kurtkę. – Chłodno tu.

– Koniec października w końcu. Jesień – leśniczy przepuścił wszystkich i ostatni ruszył ścieżką. – Prosto aż do skarpy nad jeziorkiem.

– Ale możesz nam wytłumaczyć, co wspólnego ze śledztwem i włosem ma wieczorna wycieczka do lasu? – technik nie dawał za wygraną. – Miło tu, owszem, ale jaki to ma związek ze sprawą?

– Też chciałem o to zapytać – dorzucił Piotr. Tylko Tadeusz pozostał milczący, z lekkim uśmiechem spoglądając na mijane jałowce.

– Panowie, pewnych rzeczy nie da się wyjaśnić w kilku zdaniach, bo natychmiast pojawia się jeszcze więcej pytań – Roman spojrział na zegarek i na niebo. – Mój znajomy szaman Jakutów powiedział mi kiedyś, jak byłem na Syberii: „Nie pytaj. Zobaczysz – zrozumiesz”.

– Szaman? – prychnął technik.

– Mądry człowiek. Studiował medycynę w Moskwie i wrócił do swojego ludu, by go leczyć i pomagać. Kopalnia wiedzy o kulturze tamtych stron, o medycynie ludowej, zielarstwie, łowiectwie... No po prostu szaman.

– To tu? – zapytał komisarz, gdy doszli na skraj wysokiej skarpy nad na wpeł zarośniętym leśnym oczkiem.

– Tak – skinął głową leśniczy. – Jeszcze dosłownie kilkadziesiąt kroków.

Przeszli górą skarpy w lewo. Chwilę później znaleźli się w brzozowym zagajniku, pośrodku którego stał prawie metrowej wysokości omszały głąz. Drzewa wokół niego rosły rzadko, trawa była skarłowaciała i brązowa, ledwo wystawała spod dywanu starych, butwiejących liści.

– Jesteśmy na miejscu – Roman położył plecak pod jednym z drzew. – Panowie, kilka uwag. Obojętnie, jak dziwne wyda wam się to, co robię, nie komentujcie, nie wyśmiewajcie, nie przeszkadzajcie. Po prostu zachowajcie ciszę. Po drugie, gdy już się zacznie, co się ma zacząć, nie róbcie głupstw, nie uciekajcie w las i tak dalej. Zachowajcie spokój.

Przez chwilę patrzył na zdziwione miny trójki mężczyzn, jakby oczekując reakcji. Gdy ta nie nastąpiła, dookończył:

– I wszelkie pytania pozostawcie na potem.

Oddalił się w stronę grubej brzozy o rozdwojonym pniu. Odwiązał ukryty przy korzeniu sznur i opuścił na ziemię drewnianą klatkę, w której środku coś cicho popiskiwało.

– Kura? – technik wytrzeszczył oczy.

– Kogut dokładniej – Roman postawił klatkę w pobliżu kamienia. – Przywiozłem go wcześniej.

Powoli zapadał zmierzch i powietrze robiło się coraz mroźniejsze. Leśniczy sięgnął do plecaka i wyjął cztery pochodnie. Zapalił je i wbił w ziemię w czterech miejscach dookoła głązu.

– Na co my tracimy czas? – mruknął cicho Leszek, z dezaprobatą obserwując poczynania leśniczego.

Tymczasem Roman wyciągnął skórzane zawiniątko i rozłożył je wewnątrz czworoboku z pochodni. Tadeusz zobaczył zakrzywiony nóż w futrzanej pochwie, kilka kłów, czy szponów, nanizanych na rzemyki, niewielki bębenek z rączką i pęk zasuszonych ziół.

– Bosko. Nie wiedziałem, że w dwudziestym pierwszym wieku w środku Europy ktoś zajmuje się magią i gusłami – sapnął wyraźnie zdęgotowany technik.

– Zamknij się, Lechu. Co ci szkodzi popatrzeć? – warknął Piotr. – To dla mnie też dziwne, ale nic nie tracimy.

– Zimno mi. Rozchoruję się.

– To ci Roman da magicznej nalewki z ziół i wyzdrowiejesz do rana – parsknął Tadeusz, kręcąc głową.

– Wszystko słyszałem – starszy mężczyzna podniósł się z kolan. W dłoni trzymał trzy rzemyki. – Nałóżcie to na szyję i nie zdejmujcie. I poproszę o ten dziwny włos.

– Co to jest? – Tadeusz przyjrzał się zakrzywionemu przedmiotowi wielkości małego palca.

– Pazur wilka syberyjskiego.

Siekierski wzruszył ramionami i włożył rzemień przez głowę. Skoro miały działać się dziwne rzeczy, jedna więcej nie robiła różnicy.

– Po co to wszystko? – wyrwało się Lechowi, który wyjął zalaminowany włos z kieszeni kurtki.

– Żeby było bardziej folklorystycznie i dziwnie – Roman po raz ostatni sięgnął do swojego plecaka. W migotliwym świetle pochodni zalśniła srebrna sierść wilczego futra. – Można go wyjąć z tej folii?

– Tak. Wystarczy złamać wzdłuż.

Leśniczy skinął głową. Ostrożnie wyciągnął włos i położył go obok noża. Potem zaczął rozbierać się do pasa.

– My też musimy? – zapytał przytomnie Siekierski.

– Jest to wskazane, ale niekonieczne. Tylko zdejmijcie zegarki i wyłączcie telefony.

Fizyk spojrział na Piotra. Ten skinął głową i sięgnął do suwaka od policyjnej kurtki.

– Nie bądźmy miękcy. Jak zabawa w Indian to na całego.

– A co! – Tadeusz poszedł w jego ślady.

– Zgłupieliście? – technik wytrzeszczył oczy.

– Słyszałeś. Nie musisz.

Leszek stał przez chwilę z nieszczęśliwą miną, gapiąc się w las. Wreszcie nerwowymi ruchami zaczął się rozbiierać.

– Kurwa, w końcu pracuję w policji, nie?

Siedzieli w czwórce przed kamieniem. Wszyscy nadzy do pasa i bosy. Jedynie Roman miał narzuconą na plecy skórę białego wilka. Oddychał powoli i głośno, koncentrując się. Potem jednym zwinnym ruchem zerwał się na nogi. Z jego piersi wyrwał się cichy pomruk, przypominający nieco wilczy warkot. W dłoniach trzymał pęk ziół i bębenek. Potrząsnął instrumentem raz i drugi. Dwie kulki, przywiązane krótkimi sznurkami, zaczęły jednostajnie wybijać rytm. Leśniczy podszedł do pochodni i zapalił zioła. A potem powarkując i pomrukując rozpoczął dziwny taniec dookoła głazu.

Tadeusz zawiesił swoją niewiarę i sceptycyzm na kołku. Dał się ponieść nastrojowi chwili, wpatrując się w srebrną skórę wilka na plecach Romana. Ten coraz szybciej wybijał rytm na bębenu. Zaczął też uderzać stopami o ziemię. Pomruk przeszedł w zawodzenie, pełne skomleń i warkotów. Zapach ziół rozchodził się w powietrzu, drażniąc nos i gardło.

Dźwięki mieszały się ze sobą, uczucie chłodu zniknęło. Fizyk przyłapał się na tym, że jego palce mimowolnie wybijały na kolanach podawany rytm. Rzucił okiem na siedzącego obok Piotra. Ten z zamkniętymi oczami nucił jednostajny dźwięk, dłońmi lekko uderzając w uda. Tymczasem Roman bębnił coraz głośniej, coraz gwałtowniej wymachu-

jąc dymiącem pękiem ziół. Poprzez siwy dym Siekierski widział raz pochyloną postać człowieka, a raz zrywającego się do skoku wilka.

I nagle las wokół ożył. Tadeusz poczuł silne, bezgłośnie tąpnięcie gdzieś w ziemi. Płomienie pochodni położyły się, zwiewane nagłym wiatrem. Tąpnięcia powtarzały się raz po raz. Ich źródłem był wielki głaz. Ogień zaczął zmieniać kolor z żółtego na zielony i niebieski, by wreszcie osiągnąć delikatny odcień fioletu.

„Upaliłem się” pomyślał fizyk, z całej siły uderzając dłońmi w kolana. Biały wilk biegał wokół głazu, płomienie tańczyły zwijając się w długie języki, a kamień pulsował niczym wielkie serce.

Długie, jeżące włosy na karku wycie przebiło się przez wszystkie dźwięki. Rytm bębienka, szaleńczo szybki, umilkł gwałtownie. Roman klęczał na jednym kolanie przed głazem, na którego szczycie siedział olbrzymi wilk. Nastroszone futro lśniło zimnym, niebieskim światłem. Oczy błyszczały niczym dwie gwiazdy. Z gardzieli bestii wyrwał się potężny pomruk.

Leśniczy szybkim skokiem dopadł do klatki. Otworzył ją i wyjął szamoczącego się koguta. Potem sięgnął po zakrzywiony nóż i jednym ruchem przeciął szyję ptaka. Wciąż rzucające się ciało cisnął w stronę wilka. Ten chwycił koguta w locie i zgniótł między szczękami. Stłumiony trzask gruchotanych kości rozszedł się wokół. Gdy bestia połknęła ofiarę, powoli zeszła z głazu.

„Wezwałś mnie, szamanie” niski głos rozległ się w głowie Tadeusza.

– Tak, bracie. I złożyłem ci w podzięcie koguta, jak każe prastara umowa – wychrypiał Roman, unosząc głowę. – Chcę twojej pomocy.

„Przyjąłem poczęstunek. Mów, czego chcesz”.

– Jesteś wielkim tropicielem, bracie. Żaden ślad nie ujdzie twej uwadze, żadna zwierzyna nie umknie twoim kłom. Oto trop – leśniczy odszukał srebrny włos na leżącej

na ziemi skórze. – Proszę cię, bracie. Powiedz mi, do kogo on należy. A w czasie najbliższej pełni otrzymasz jeszcze jednego, dużego koguta.

Widmowy wilk zbliżył łeb do dłoni Romana, głośno wciągając nosem powietrze. Potem cofnął się, warknął donośnie i jednym susem zniknął za głazem. Ogień pochodni uspokoił się, na powrót przybierając ciepłą barwę.

Tadeusz rozejrzał się nieprzytomnie.

– Kurwa, co to było? – usłyszał szept Piotra.

– Tropiciel – odpowiedział normalnym, choć zmęczonym głosem leśniczy. – Mówiłem, że będzie niesamowicie.

– Czy już po wszystkim? – zza pleców Siekierskiego dobiegł jęk technika. – Muszę w krzaki...

– Wytrzymaj – odpowiedział Roman, obserwując głaz. – On niedługo wróci.

Tropiciel pojawił się nagle. Pochodnie zadrżały i wybuchły bladofioletowym światłem. Bestia, jak poprzednio, stanęła na szczycie kamienia. Oczy zaśniły mocniej.

„To, czego szukacie, nie pochodzi z waszego świata, lecz wciąż w nim przebywa. Trop jest wyraźny.”

– Czym to jest, bracie? Skąd pochodzi? – zapytał z mocą Roman. – Muszę to wiedzieć!

Tropiciel obrócił się w miejscu i machnął wielkim, kudłatym ogonem. Uniósł łeb i zawył. Dźwięk kłuł boleśnie w uszy i wibrował wewnątrz głowy. Gdy wycie ucichło, rozchodząc się echem po okolicy, wilk po prostu rozpułnął się w mroku. Powiał wiatr, zrywając z ziemi zbutwiałe liście i przynosząc wilgotny zapach mgły znad jeziora. W jego szumie Tadeusz wyraźnie usłyszał słowo.

„Alazza”.

Siedzieli w salonie leśniczówki. W piecu buzował ogień, dając miłe, przytulne ciepło. Roman nalewał właśnie do kieliszków drugą kolejkę. Pozostali mężczyźni w milczeniu rozgrzewali się herbatą.

– No to chlup! Na druga nogę – leśniczy odstawił butelkę.

– Jak dobrze, że dzisiaj piątek – mruknął Leszek, biorąc swój kieliszek. Odezwwał się po raz pierwszy od chwili, gdy opuścili brzoźowy zagajnik.

– Dlaczego? – zapytał Tadeusz.

– Mam ochotę dzisiaj uwalić się w trupa. A jutro sobota, nie muszę iść do roboty. Dobrze, że kupiłeś dobrą wódkę.

– Jesteście głodni? Zrobię grzanki z serem. Będą dobre na zagrychę – Roman spojrzął na gości.

– Dawaj – skinął Siekierski. Gospodarz wyszedł do kuchni.

Piotr uniósł zmęczony wzrok. Tadeusz po raz pierwszy widział go w takim stanie. I choć sam był pod wrażeniem tego, co wyczyniał leśniczy, rozumiał że przygoda w lesie musiała wyrzucić druzgoczące wrażenie na koledze. Leszek wyglądał podobnie.

– Dobrze. Pojechaliśmy w dziwne miejsce. Widzieliśmy wilkoducha, duchowilka, cokolwiek to było. Roman zabił koguta, który zniknął. Zjadł go wilk. A potem wilk powiedział, że morderca to kosmita. I zjadł. Koguta. Nie kosmitę. Muszę się napić – wyrzucił z siebie jednym tchem komisarz i sięgnął po butelkę.

– Czekaj, bo się zaprawisz, zanim będą grzanki – powstrzymał go Siekierski. – Mnie interesuje inna rzecz. Czy słyszeliście jakieś dziwne słowo, już po tym, jak zniknął wilk?

– Tak. Ale wyleciało mi z głowy – przytaknął Leszek.

– Coś na „A” – dodał Piotr.

– Alazza dokładnie. Zapamiętałem – Tadeusz rozparł się na wersalce. – Odlóżmy na bok to, co widzieliśmy. Było niesamowite, to prawda. Ale założmy, że zdarzyło się naprawdę i nie było nawet zbiorową halucynacją...

– Chleb w piekarniku. Będzie za parę minut – leśniczy powrócił z kuchni, niosąc miseczkę pełną kiszonych ogórków. – Znalazłem słoik w lodówce. Częstujcie się.

– Roman, wyjaśnij wszystko po kolei – poprosił Siekierski.

– Co tu wyjaśniać? Użyłem starego sposobu jakucich czarowników na przywołanie Tropicieła, który potrafi odgadnąć każdy trop. No i wykonał swoją robotę.

– Ale czym on był? – wybuchł Leszek. Wzrok miał nieco zamglony. – Projekcją holograficzną?

– Nie wiem – wzruszył ramionami leśniczy. – Czy to ważne?

– Dla mnie ważne. Jak można za pomocą czterech pochodni, wiązki ziół i zabitego koguta zrobić takie... coś?

Roman westchnął i zamyślił się. Po chwili odezwał się powoli:

– Istota, którą wezwałem nie istnieje w pełni fizycznie w naszym, realnym, materialnym świecie. Gdybyś tam ustawił detektory ruchu, albo aparat z autowyzwalaczem, nic byś nie zobaczył.

– Czyli co? To jednak było przywidzenie?

– Kontrolowane przywidzenie – skinął z uśmiechem leśniczy. – Z tym, że nie do końca. W końcu zjadł koguta, nie? To była wizualizacja pewnych hm... energii, istniejących w naszym świecie, ale niedostępnych z poziomu fizyki. Przynajmniej dzisiejszej fizyki. Tadeusz ci to dokładniej wytłumaczy, ja nie jestem naukowcem. Dlatego zamiast zastanawiać się, co dokładnie widzieliśmy, lepiej po prostu uznać, że był to jeden z wielu duchów. I że skontaktowaliśmy się z nim za pomocą magii. Czarownicy całego świata tak robią od tysięcy lat i im to wystarcza.

– Napijmy się – skwitował dłuższą wypowiedź Romana Piotr. Napełnił kieliszki. – Za Tropicieła. Czymkolwiek jest, jeśli jest tak skuteczny, ma u nas etat w firmie. Od zaraz. I niech się schowa całe CBS.

Tadeusz parsknął śmiechem i spełnił toast. Leśniczy znów wyszedł do kuchni, by wrócić z tacą pełną skwier-

czących jeszcze kromek chleba z roztopionym serem. Przez chwilę cała czwórka chrupała zgodnie zakąskę. Potem Siekierski wrócił do tematu.

– Padło słowo „alazza”. Nie mam pojęcia co to takiego. Romek?

Zapytany zrobił bezradną minę.

– Ja też. Ale założmy, że to jakieś imię albo nazwa. Istoty, która nie pochodzi z naszej rzeczywistości, ale wciąż w niej przebywa.

– Ha! Mam! – komisarz uniósł, nieco już chwiejnie, palec. – Adam Dobrcz robił jakieś domowe czary-mary, przywołał tą alazzę, czy tego alazzę. Ale gdzieś popełnił błąd. Ofiara nie przypadła do gustu, albo przywitanie nie było wystarczająco grzeczne. I to coś po prostu urwało łeb idiotcie, rozłożyło go na kawałki i poszło sobie w pizdu. Przypadkiem zahaczając fryzurą czy może ogonem o drzwi i stąd ten srebrny długi włos we framudze! Jestem genialny, Sherlock Holmes może mi samochód czyścić.

– Albo nadajesz się do pisania scenariuszy tanich horrorów – mruknął Leszek.

– Albo – zgodził się policjant i zagryzł kolejnym ogórkiem. – Ale masz lepszą teorię?

– Za mało jeszcze wypilem.

Tadeusz ocknął się z potwornym bólem w skroniach i kilogramem kamieni w żołądku. Jęknął i spróbował powoli przewrócić się na bok, by sięgnąć po szklanekę wody, którą przezornie postawił w nocy na stole. Mózg przeturlał się pod czaszką, uderzając boleśnie o gałki oczne.

– O ja... A mówiłem Romanowi, żeby zostać przy wódce...

Stolik w salonie był dokładnie wysprząpany. Zniknęła taca po grzankach, trzy puste butelki po wódce, pękaty gąsiorek z domowej roboty nalewką jeżynową i cała resz-

ta, łącznie z napełnioną po brzegi popielniczką. Została tylko szklanka wody.

Siekierski powoli podniósł się do pionu. Mózg wrócił na swoje miejsce gdzieś pomiędzy uszami. Znów zabolalo. Pęcherz zaczął domagać się swoich praw. Fizyk rozejrzał się po pokoju. Z kuchni dochodził odgłos płynącej z kranu wody.

– Romek, wstałeś już? – odezwał się zduszonym głosem. Znów napił się wody. Ostrożnie podniósł się z wer-salki i ruszył w stronę łazienki. Przechodząc przez przed-pokój, zajrzał do kuchni. Oparł się, o ścianę, zaskoczony. Przy zlewie stała, odwrócona do niego plecami, kobieta. Długa, jesienna spódnica sięgała brązowych kozaków na krótkich obcasach. Miedziane włosy, związane w luźny, koński ogon, spływały luźno po beżowym swetrze z grubej wełny, sięgając niemalże pasa.

– Przepraszam... – zaczął niepewnie. Młoda kobieta odwróciła się szybko, wcale nie okazując zaskoczenia. Uśmiechnęła się z lekkim politowaniem. Zakręciła wodę, wyłączyła bojler i wytarła ręce w szmatkę wiszącą na oparciu krzesła.

– Ojca nie ma – rzuciła krótko, z wyraźnie wyczuwalnym, rosyjskim akcentem. – Pewnie wyszedł na poranny spacer. Pomyślałam, że posprzątam po waszej biesiadzie.

– Czyli jest pani... – Tadeusz usiłował skupić myśli. W tym momencie na dworze rozległo się szczekanie psa i w drzwiach wejściowych pojawił się Roman, rozpinając kurtkę. Kiedy tylko dostrzegł kobietę, zatrzymał się wpół kroku, z dłonią na guziku. Otworzył usta ze zdumienia.

– Natasza?

Tadeusz Siekierski, fizyk, zostaje przypadkowo wciągnięty przez swojego kolegę policjanta w sprawę z pozoru czysto kryminalną – zabójstwo mężczyzny na jednym z bydgoskich osiedli. Historia zaczyna się jednak komplikować, gdy okazuje się, iż sprawca niekoniecznie musi być człowiekiem. Trzeźwo myślący Siekierski przekonuje się, że otaczający go świat, to nie tylko dająca się potwierdzić naukowo zjawiska fizyczne...

Opowieść pełna tajemnic, sił potężniejszych niż ludzkość i magii, czającej się w zaułkach Bydgoszczy.

Znakomicie napisana i świetnie się czytająca rozrywkowa mieszanka horroru i urban fantasy. [...] „Alazza” to bardzo przyjemne zaskoczenie i czekam na więcej.

Rafał Galfryd Głuchowski

[...] lektura sprawia sporo frajdy, a o to przecież chodzi. Pochłoniętem ją w parę godzin i był to czas naprawdę przyjemnie spędzony.

Przemysław Mrówka, *Gildia.pl*

Jak na debiut Czyżewskiego, „Alazza” jest dobrą powieścią. Dlatego jeśli lubicie historie kryminalne z wątkami nadprzyrodzonymi, okraszone szczyptą humoru ta książka jest właśnie dla Was.

Magdalena Paluch, *Grozownia*

bonito.pl



GROZOWNIA

ISBN 978-83-958615-3-6



Cena detaliczna: 35,00 zł